

Polowanie

Niezdara była wioską jakich wiele. I jak w wielu wioskach pomiędzy rzekami Wypitką i Płotką, tak i tu w wietrzne, jesienne wieczory mieszkańcy zbierali się w gospodzie. Dzisiaj tak właśnie było - karczma "Pod Miedzianym Kotłem" wypełniona była miejscowymi nad kuflem piwa omawiającymi sprawy ich malutkiej wioski. Stary Szirka, gospodarz, krzątał się to tu, to tam, jego żona, gruba Grente mieszała coś w kociołku nad ogniem. Deszcz na dworze zacinał, wicher wył jak stado potępieńców... W karczmie było ciepło i przytulnie. Wtem drzwi otworzyły się i wraz z powiewem zimnego wietrzyśka do Miedzianego Kotła wkroczyła wysoka elfka otulona szarym płaszczem. Dziewczyna zdjęła kaptur, strzepnęła bujną czuprynę rozpryskując wokoło kropelki wody i wreszcie, rzuciwszy swój płaszcz na sam szczyt stosu okryć przy drzwiach i odłożywszy obok niego sakwy i broń, podeszła do szynkwasu.

-Aleć wiuga! Izby nosa z chałupy nie wyściubić! Wina grzanego, gospodarzu! Konia już do stajni zaprowadziłam.

Szirka skinął głową, nie przerywając wycierania dzbanka wielką, kraciatą szmatą.

-Wreszcie się pojawiłaś! A co cię Kana sprowadza?- zapytał odkładając wreszcie szmatę i nalewając do dzbanka wina z wielkiego, miedzianego kotła, tego samego od którego nazwę swą wzięła karczma.

-A co by, jak nie łowy? Głoworożca, czy jak wy go zwiecie - żabruka, mam złapać, to i ludzi do nagonki skrzykuję.

-Żabruka ? Toć to bestyja tęga, w stu chłopca na niego iść i nie podołasz...

-W stu chłopca to głupi idzie gospodarzu. Mnie kilku tylko trza, do zasadzki.

-Chłopy! -krzyknęła do mężczyzn ciasno obsiadających stoły. Momentalnie zrobiło się cicho. Tutejsi znali dobrze Kanę, łowczynię sławną od Wypitki do Płotki, od Małych Wielkich do Starych Targów. Niejeden z wypełniających karczmę z nią na łowy chodził, niejeden nosił blizny od pazurów czy dzioba tej, czy innej potwory. Nigdy się też nie zdarzyło by któryś z tych co poszli nie wrócił. "Z Kaną na stwory to jak z wodnikiem na ryby" mawiano.

-Chłopy! -przemówiła łowczyni -Ludzi mi trza, na żabruka! 2 sole daje przed robotą, i skórę, jak dobrze pójdzie! Jakie warunki to wiecie!

-Kana, dziewczko droga, siednij se tu z nami, a powiedz co i jak dokładnie czynić umyślasz, miast gardło zdzierać -odezwał się od stołu jeden z mężczyzn - Boć przecie to wykopki idą, ludzi mi we wsi trza do roboty.

-Wasz mość Matyjasz! Kłaniam! To wy tu dalej sołtysujecie?

-Trzeci raz się zdarzyło. Aleć nie o tem miałem mówić - na żabruka się wyprawić chcesz?

-Ano na żabruka. Zlecenie mam z Małych Wielkich, na pazury i rogi.

-I ludzi chcesz?

-Ano chcę. Pięciu tylko, nietrudne łowy, bo z zasadzki. Pozwólcie im Matyjaszu, widzicie jak się do wyprawy pałą!

-Wyrwać się od roboty to każdy chce.

-Ale toć u mnie też robota tęga, i niebezpieczna, jak głoworóg jaki poharata...

-Ja nikogo trzymać nie mogę, którzy chcą niech idą.

Zgłosiło się też zaraz pięciu chłopów, wszystkich wielkich jak tury, o gębach poznaczonych szramami od zwierzęcych pazurów. Byli to ludzie z łowami obeznani, którzy nieraz już Kanie

towarzyszyli. Usiedli więc teraz wraz z łowczynią na końcu stołu by szczegóły obgadać.

*

Późno już było, gdy Kana udała się na spoczynek. Ale wszak i łowy omówić musiała i o sprawy wioskowe wypytać, jako że w wielkiej była komitywie z tutejszymi, a już Matyjasz był dla niej jak wuj, znała go od czasów, gdy jako smarkacz jeszcze na łowy jeździła z ojcem swym, który także się polowaniem na bestyje trudnił. Ostatnio zaś w Niezdarze była dwa lata temu, potem nosił ją los po Krainie całej, z dała omijając góry Gorszczady, Kopczastymi czasem zwane. Tak więc drapała się teraz po wysokich schodach na stryszek gdzie zawsze czekał na nią pokój. Nagle w cieniu pod ścianą zoczyła jakiś ruch. Odruchowo chwyciła mały sztylet, który zawsze nosiła przy sobie, ukryty pod kubrakiem.

- Kto tu ? - zapytała unosząc w górę świecę.

- Ja jak najbardziej w pokoju przybywam! - rozległ się głos i z kąta wysunął się jakiś typek.

Był dość pokaźnej postury, wzrostem prawie dorównywał łowczyni, co nie było proste, Kana nawet wśród elfów uchodziła za wysoką. Twarz miał sympatyczną, włosy zaplecione w rodzaj sfilcowanych warkoczków.

- Czego chcesz ? - zapytała łowczyni, wciąż nie chowając noża. Nigdy wszak nie wiadomo, co może się wydarzyć późną nocą w ciemnym korytarzu. Kana na przykład, miała w tej materii dość nieprzyjemne doświadczenia.

- Jestem łowcą, jak i ty pani, zapytuję więc czy mógłbym towarzyszyć ci w twej wyprawie?

Dziewczyna przyjrzała mu się podejrzliwie

- Na łowcę mi coś nie wyglądasz. Za gładką masz mowę i gębę.

- Że co ?

- W życiu nie spotkałam łowcy który by miał gadanie jak poeta czy mędrzec jakowyś.

- Ależ ja naprawdę jestem łowcą! Słowo!

- Powiedzmy, że ci wierzę. A czego chcesz ?

- No już mówiłem - w łowach ci towarzyszyć!

- A czego za to chcesz ? Znaczy się co ja z tego będę miała i co ty chcesz mieć ?

- Ja? Zobaczymy jak się uda polowanie - odrzekł dość wymijająco

- Aha... I jesteś pewien że jesteś łowcą ?

- Jak najbardziej!

- Jesteś więc najdziwniejszym łowcą jakiego znam. Dobrze, zbiórka przed wymarszem jutro o wschodzie słońca. A i jeszcze jedno - jak cię zwać?

- Mirjo.

- W takim razie Mirjo spadaj już bom śpiąca okrutnie. - to mówiąc Kana weszła do swojej izby i zatrzasnęła drzwi. Ale bynajmniej nie zasnęła od razu, pomimo zmęczenia. Myślała o tym dziwnym człowieku. Jakoś nie wyglądał jej na łowcę. A może był szpiegiem, tyle się o nich mówiło ostatnio... Ale szpieg by przecież nie pchał się na łowy. I chyba... nie był by taki jakiś... sympatyczny ?

*

Nie spał także Mirjo. Wrócił do swego pokoju, po czym wyrzucił zaraz na łóżko zawartość obu swych sakw. Wśród całej masy kłopotów, które w nich woził była także książka Kery z Sirlivanu, o wiele mówiącym tytule " Bestyj wszelakich krótkie opisanie, po obserwacjach dokładnych przez outorke uczynione ". Tę książkę otworzył teraz Mirjo na stronie opisującej głoworożce i zagłębił się w lekturze.

*

Dzień był piękny, góry wyglądały po wczorajszej ulewie jak świeżo umyte, powietrze było rześkie i czyste. Mała grupka była w drodze już od kilku godzin. Kana i Mirjo jechali konno, wieśniacy szli niosąc na plecach wszystko, co potrzebne było do łowów. Prowadzili też dwa objuczone tertaki - stworzenia mniejsze od koni, podobne nieco do osłów, a jednocześnie wytrzymalsze i mniej uparte. Jechali spokojnie przez gęsty mieszany las, drzewa liściaste mieniły się wszystkimi odcieniami czerwieni, iglaki cieszyły oczy ciemną zielenią, paprocie zarastające rzadko używany dukt sięgały obławnikom do kolan. Droga przed nimi była jeszcze daleka, głoworożce żyły na wysokich połoninach, na samych szczytach tych niezbyt wysokich, ale też i nie niskich gór. Tymczasem upiki śpiewały w koronach oświetlanych przez przedpołudniowe słońce drzew, gdzieś wysoko nad ich głowami przelatywały klucze ptaków odlatujących na zimę w cieplejsze regiony...

Wieśniacy wspominali poprzednie polowania, rozprawiali na temat żabrugów, spierając się czy są one niebezpieczniejsze od szlaproków czy też nie i ogólnie pletli masę bzdur o różnorodnych stworach. Kana nie prostowała, jak to robiła zazwyczaj, jechała zasłuchana w potok wymowy Mirja. On zaś gadał i gadał, od samej Niezdary gęba mu się nie zamykała. Początkowo łowczyni starała się go ignorować, lecz historie które opowiadał były tak zabawne że nie sposób było się nie uśmiechnąć. Tak więc Kana uśmiechała się i czuła że coraz bardziej lubi tego dziwnego łowcę, wykazującego nadzwyczajną nieznaną swego domniemanego fachu i jeszcze nadzwyczajniejszy humor i gadatliwość. Jechali więc przez lasy, coraz wyżej i wyżej, przekraczali strumyki i mijali perliste siklawy...

Zatrzymali się wreszcie na leśnej polanie, nad małym jeziorkiem. Było stąd widać dolinę, malutkie wioseczki, pagórki, którymi usiana była wyżyna Starotarska...

Zwierzęta łąpczywie piły zimną, jeziorną wodę a oni wszyscy, łowcy i obławnicy gapili się z otwartymi ustami. Nawet na wieśniakach, którzy przecież mieszkali tu, i którzy nie byli specjalnie zdolni do estetycznych uniesień widok zrobił wrażenie.

- Bogowie, jak tu pięknie... - westchnął Mirjo.

- A my som tacy malukcy! Przecie tam, to chyba by Niezdara była!

- Co ty Ostek gadasz! Dyć to Małe Wielkie! A naszej wsi to ni widać nawet...

Słońce zaszło za małą chmurkę, odwrócili się z powrotem do swych zwierząt.

I wtedy zauważyli, jaka się nagle zrobiła cisza. Żaden ptak się nie odzywał... Wśród chaszczki coś mruknęło, strzeliła łamana gałązka.

- Toć to misza chyba! - szepnął jeden z wieśniaków

- Czyli niedźwiedź?... -zapytał Mirjo powoli sięgając po miecz, który, o dziwo!, posiadał.

- Tak! - odpowiedziała Kana wyjmując łuk z sajdaka przytroczonego przy siodle

- Nie ruszajcie się, on nie zna ludzi, może sam pójdzie...

Ale niedźwiedź nie poszedł. Usłyszeli jeszcze jedno mryknięcie i na polanę powoli wychynął brunatny łeb, a za nim reszta misia. Kana naciągnęła cięciwę, wycelowała, Mirjo dźwignął miecz w drżących dłoniach, chłopci skupili się wymachując wokoło sękatymi drągami.

Niedźwiedź przyglądał się, węszył... Podeszedł kilka kroków w ich stronę, mryknął znowu.

Konie szarpały się tak, iż pilnujący ich Ostek ledwie mógł je utrzymać, tertaki spokojnie przeżuwały trawę... I nagle Mirjo poruszył mieczem, w ostrzu błysnęło słońce. Niedźwiedź odwrócił się i uciekł.

- Tego sposobu nie znalazłam. -z podziwem stwierdziła Kana.

- Gdzieś o nim czyta... eee... stara sztuczka.

- Pani Kano, zostajemy tutaj na noc ? - odezwał się ktoś. Łowczyni spojrzała na słońce.

- Do nocy jeszcze kilka godzin. Jedziemy dalej, nie mam zamiaru tu zostawać, a już szczególnie w towarzystwie miszy. Zbierać się, znam dobre miejsce na nocleg, kilka mil stąd!

*

Ognisko skwierczało i dymiło mocno, ale płonęło - udało im się znaleźć trochę suchego drewna. Opodał bulgotało źródelko, gdzieś w lesie pohukiwała sowa.

Jeden z wieśniaków, Jantek gotował polewkę "od której zapachu w nosie zakrętownuje, a naje się nią każdy", jak to zapowiedział, zabierając się do kucharzenia, Kana czyściła broń - łuk, miecz i dwa sztylety, Mirjo leżał i gapił się w gwiazdy a obławnicy grali w karty, klnąc przy tym na siebie niemiłosiernie.

- No, mości łowco, trzeba by jakiś plan zasadzki poczynić, niedługo dojedziemy już tam gdzie głoworożce zimują - podchwytliwie zwróciła się Kana do Mirja. Spojrzała przy tym na niego i wydawało jej się, że zauważyła na jego twarzy jakby cień przestachu. Ale nie była pewna. Zresztą nim zdążył cokolwiek odpowiedzieć Jantek oznajmił, że kolacja gotowa, bębniąc przy tym łyżką o brzeg kociołka. Zjedli wszyscy, a potem Mirjo zaczął opowiadać jakąś diabelnie długą historię, legendę o miłości syreny i elfa...

"Skąd on to wszystko zna ?" - zastanawiała się Kana, wsłuchując się w melodię jego słów. "Ja też przecie słyszałam niejedną balladę, ale żeby ją sama opowiedzieć... Pięknie prawi, jak bajdur jakowyś..." myślała popatrując to na ogień, to na gawędziarza. On zaś, mówiąc o nieszczęśliwej miłości biednej syrenki, co to się ogona i mowy wyrzekła, co chwilę spoglądał na łowczynię, jakby chcąc się upewnić czy go słucha. Kiedy zaś napotkał jej wzrok uśmiechał się szeroko i jeszcze barwniej opowiadał.

Ogień trzaskał a księżyc zachodził powoli za góry...

*

Następne dni podobne był do pierwszego. Jechali teraz przez połoniny, przez wielkie łąki, usiane ostatnimi jesiennymi kwiatami, kamieniami... Mijali pasterskie szałas, mijali chłopów zwożących do wsi ostatnie kopce siana... Czasami zjeżdżali w dolinki, czasami wspinali się na stoki, wciąż dalej i dalej, w głąb gór. Kana wiedziała dobrze, że na łąkach na których górale wypasali owce i tutejsze małe kuce, nie ma co liczyć na spotkanie żabruka.

Te stwory uciekały jak najdalej od wszelkich oznak cywilizacji.

Aż wreszcie, pod wieczór trzeciego dnia przybyli na miejsce -na wielką, cały szczyt góry zajmującą połoninę. Łowczyni nakazała wieśniakom przygotować biwak, sama zaś wraz z Mirjem udała się na poszukiwanie tropów. Po chwili rozdzielili się, umówiwszy pierwiej sygnał, którym dać mieli znak o śladach. Mirjo powoli szedł w stronę szczytu. Ziola pachniały oszałamiająco, skoczki i urfle zrywały się spod samych stóp, przyglądały mu się stada śmiesznych sarenek, zdziwionych wyraźnie widokiem człowieka. Tymczasem człowiek zachwycał się tą przyrodą i wypatrywał śladów. Nie widział żadnych. Lecz może powodem tego był fakt, iż jak wyglądają ślady żabruka nie miał pojęcia. W książce Kery były one owszem opisane, lecz opis ten nie mówił mu najzupełniej nic. Szedł, więc sobie mając nadzieję, że to Kana coś znajdzie. I rzeczywiście - po chwili usłyszał trzy krótkie gwizdy. Sarenki umknęły spłoszone, a on ruszył w stronę, z której dobiegał dźwięk. Zastał Kanę pochylającą się nad kłębowiskiem tropów.

- I co o tym sądzisz ?- zapytała.

- Że... znalazłaś głoworożca?

Spojrzała na niego z politowaniem

- Znalazłam stado głoworożców, durniu. A raczej ślady tego stada. I kilku muczoków. Ty w życiu widziałeś głoworożca?

- No jasne! No i co teraz zrobimy ?

- O to samo chciałam zapytać.

- Więc może zaczajmy się tu, naokoło, i usieczemy bestię jak się tylko pojawi.

Tym razem Kana nawet już na niego nie spojrzała. Pokiwała tylko głową.

- Na żabrugę nie poluje się na otwartym terenie. I nie atakuje się stada żabrugów, chyba, że komuś życie niezbyt miłe. A teraz wracamy do obozu, po kolacji się wszystkiego dowiesz.

*

Pułapka na głoworożce zamontowana była pomiędzy czterema drzewami. Na jej środku leżała ubita sarna, dookoła, w koronach drzew, siedzieli ludzie gotowi do zrzucenia siatek. Mirjo siedział na gałęzi tuż nad ziemią. W ręku trzymał włócznię spreparowaną wczoraj przez Kanę i daną mu ze słowami by nie ważył się zejść z drzewa nim żabrug nie będzie martwy. Jego zadanie ograniczało się do rzutu włócznią w oplątanej siatką stwora. Tymczasem stwora jeszcze nie było. Nie było też łowczyni, która poszła żabrugę przywabić. Dzień wstawał pogodny, po niebie sunęło powoli kilka chmurek... Wtem nadbiegła Kana. Ślad za nią znaczyła krew i kawałki mięsa drugiej sarenki, po którym to śladzie przybiec miał głoworożec.

- Wszyscy uwaga! Stwora zaraz tu będzie! Cisza i czekać na znak! -zawołała sadowiac się na gałęzi obok Mirja. Wyjęła z sajdaka łuk i strzałę.

- Gotowy ?

- Mhm...

- Świetnie. Teraz ani ruchu, ani słowa, jeśli ci życie miłe.

Śpiewające wśród konarów ptaki nagle umilkły. Usłyszeli trzask łamanych gałęzi i na polanę pomiędzy drzewami wbiegł głoworożec. Był koloru zielono-żółtego, przypominał trochę przerośniętą, porośniętą łuską kurę. Jego łapy zakończone były wielkimi pazurami, wielki i niewątpliwie ostry miał także dziób. Biegając machał szczątkowymi skrzydełkami. Jego łeb całkowicie odpowiadał nazwie - jego czubek i boki zdobiły rogi, jeden duży i niezliczona ilość małych. Stwór ujrzał mięso i zaskrzeczawszy radośnie rzucił się na nie.

-Już! -krzyknęła Kana i na niczego nie podejrzewającego żabrugę spadły siatki. Zwierz wrzasnął wściekle starając się rozerwać krępujące go sznury. Mirjo rzucił włócznią, trafił nieco poniżej skrzydła. Ranny stwór ze zdwojoną pasją szarpał się w siatce.

-I coś durniu zrobił, tylko się wściekł! - krzyknęła łowczyni, celując w miotający się na wszystkie strony łeb. Strzeliła, a jednocześnie z drzew posypały się kamienie, rzucane przez wieśniaków. Głoworożec upadł, miotnął się jeszcze kilka razy, skrzeczając boleśnie i wreszcie znieruchomiał. Mirjo zeskoczył z drzewa, ostrożnie zbliżył się do ścierwa i pochylił nad nim.

- Co robisz?! Chcesz żeby cię zabił? - wrzasnęła Kana

- Przecież jest już zupełnie martwy! Zabity na śmierć! -odkrzyknął odwracając się w jej stronę

- Nie byłabym taka... Uwważ!!!!!!!

Mirjo odwrócił głowę i przez ułamek sekundy ujrzał zakrwawioną szponę. Chwile później jego oczy zalało coś ciepłego i czerwonego.

*

Jakiś blask pod powiekami... Coś migało, jakieś dziwne światło... Powoli otworzył oczy. Jakieś twarze... cztery... dwie... jedna...

- Kana! Gdzie ja jestem ? Bogowie, co się stało ?

- Masz szczęście że zabrałam ze sobą igłę! Zardzewiała, ale cię zszyłam. Nieźle cię bestia poharatała! Pół twarzy! Masz facet cholerne szczęście, że żyjesz!

Mirjo dotknął dłonią twarzy, skrzywił się z bólu

- Kana, co się stało ? Gdzie wieśniacy ?

- Odesłałam ich do Niezdary, chcieli tu zostać, ale im powiedziałam że łatwiej mi będzie cię samej przetransportować. Zresztą dwa dni leżałeś w gorączce, majaczyłeś - tu Kana jakby zarumieniła się leciutko - Myślałam, że już koniec z tobą. Ale żyjesz. Głoworożec cię szarpnął pazurem jak się wtedy do niego zbliżyłeś, rozharatał ci pół twarzy, ledwie oka nie straciłeś.

- Bogowie... Masz jakieś lustro ?

- Koniecznie chcesz to zobaczyć ? Może lepiej za kilka dni...

- Aż tak źle ?

- Noooo... Oszpeciło cię.

Mirjo przymknął oczy.

- Nie martw się, każdy łowca ma jakieś szramy. Ja mam całe ramie porysowane.

- Ale ja nie jestem łowcą - jęknął ranny - Ja jestem poetą!!!

Na twarzy Kany odmalowało się zdumienie jakby ktoś powiedział jej, że właśnie wyrosły jej wielkie zielone rogi.

- Ty ? Wcale nie... nigdy bym nie zgadła. Wcale nie wyglądasz na... poetę. Zupełnie!

- No wiesz, nie wszyscy poeci noszą *podkręcone wąsiki i kapelusze z piórkiem!*

- Fakt. To ja się już wcale nie dziwię, czego ty taki niekumaty łowca, na stworach się nie zna nic a nic... To po kiego świrkła ty się tu pchałeś?! Poemat chciałeś pisać?!

- No... nie. Po prostu strasznie mi się spodobałaś tam, w gospodzie i...i ja myślę że ja teraz... że ja cię...kocham. Tak Kana, nie śmiej się, kocham cię!

Łowczyni zarumieniła się jak piwonია, aż po same czubki szpiczastych uszu.

-Wiem - szepnęła po chwili - Jak majaczyłeś to cały czas to powtarzałeś...